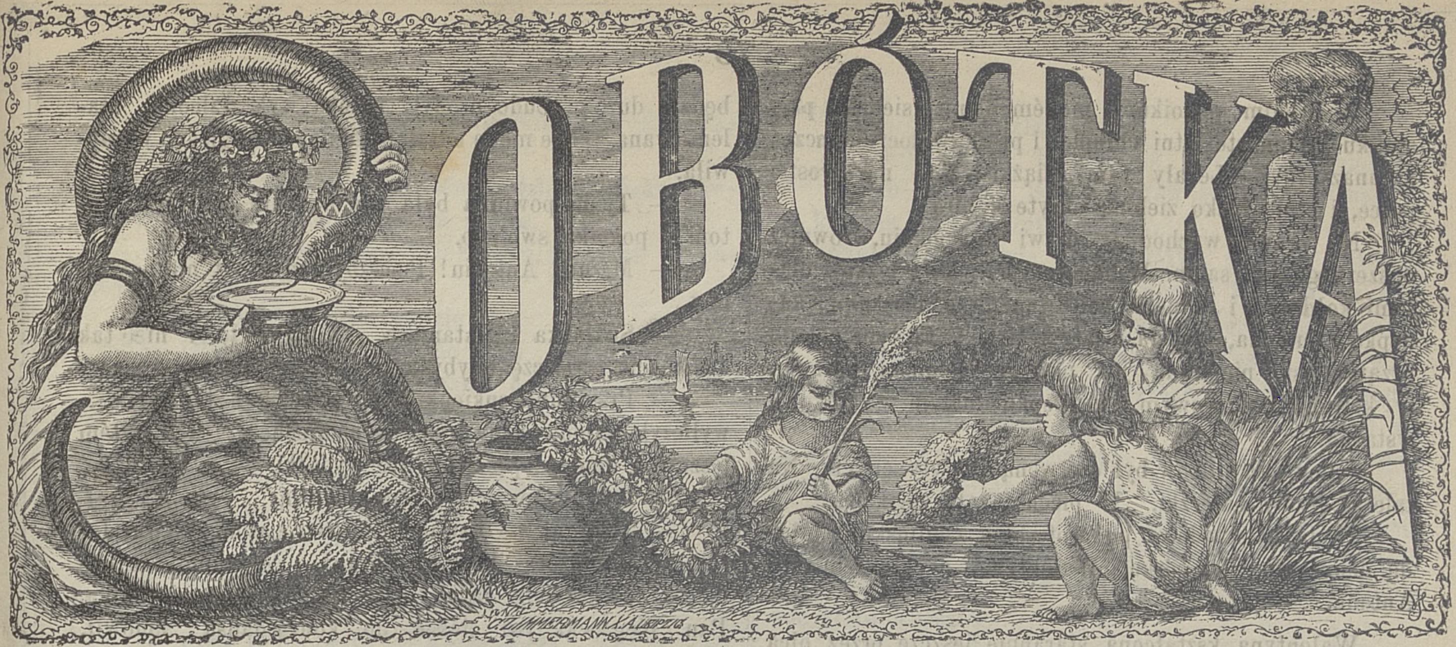


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 47. **Poznań, dnia 20 Listopada 1869.** **Rok I.**

DZIŚ.

Powiastka

przez

Paulinę z L. Wilkońskę.

> Dziś wychowanie, inteligencya, zalety osobiste, podług nowych idei a słusznych wcale, przeważają dziedzictwo świetności rodowych. Ale inna natomiast podniosła się kwestya... I jest to kwestya żywotna. Kwestya bytu!
>
> Kwiryn Zarzewski.

I.

W mieście N. N. ruch był niezwykły. Słońce styczniowe lśniło błyskotnie na zmarzniętym śniegu. Zegar ratuszowy godzinę trzecią z południa wskazywał. Po ulicach mknęły lekkie sanki i toczyły się ciężkie karety, powozy i bryczki z pakunkami; wieczorem był bal, a a ztąd ów zjazd liczny i krzątanina w głównéj części miasta.



Barbara Radziwiłłówna.

Przy oknie narożnéj kamienicy w rynku, na piętrze, siedziała młoda dziewczyna, i nie bez zajęcia temu przypatrywała się ruchowi. Przed nią na stoliku leżała rozłożona książka, jakaś powieść angielska, wydania Tauchnitza — ale nie czytała. Dość wysoka, szczupła i dosyć kształtna, jakby z nużenia pochylała się niekiedy, co jéj szczególnego dodawało wdzięku. Twarzyczkę drobną, nader regularnych rysów, zwłaszcza też nosek prześlicznego miała kształtu, dziwnie miły znaczył wyraz. Oczy duże, ciemno-modre, z ciemną brwią i rzęsą, z nieokreśloną spoglądały pogodą. Usta małe odsłaniały rząd równych perełek. Płeć nader białą, aż niby przejrzystą, lekki a świeży krasił rumieniec. Włosy ciemno-płowe skłodnie, nad jasném były ułożone czołem. Miała na sobie sukienkę czarną wełnianą i ładnie haftowany kołnierzyk.

Salon, w którym siedziała, był dość duży o dwóch oknach. Przy żółtém obiciu, meble mahoniowe, włosiennicą pokryte czarną, wcale dobrze wyglądały. Fortepian stał otwarty, a na pulpicie leżała księga z nutami. Pod zwierciadłem, pomiędzy oknami stały dwa wazony porcelanowe z kwiatami robionemi. Bliżéj okna, przy którém panna siedziała, wisiały na ścianie na grubych sznurach zielonych, pułeczki z czarnego drzewa, założone książkami. Firanki białe z muślinu, dodawały świeżości. Podłoga froterowana utrzymaną była czysto.

BIBLIOTHECA VNIV. IAGELL.

W drugim pokoiku o jedném oknie, siedział przy stoliku kilkunasto-letni chłopiec i pisał, widocznie uczeń gymnazyalny. Leżały tam książki także na prostéj półce, i stało łóżko zieloną okryte kołdrą.

Na prawo wychodziły drzwi do pokoju, również obszernego jak salon. Widne tam były dwa łóżka z białemi kołdrami i ładnemi haftowanemi poduszkami; kanapka czerwona, krzesła, szafy i stoliki. Po tym pokoju krzątała się niemłoda już pani w ciemném ubraniu, w kaftanie angorowym, w czepku białym z fiołkową wstążką.

Jeden ze stolików był czerwoną nakryty serwetą. Na talerzu leżały bułeczki. W piecu grzała się kawa.

Panią była wdowa po profesorze Żeglińskim; młodą dziewczyną jéj córka, Walentyna, a chłopcem syn Antoni.

Walentyna kształcona starannie jeszcze przez ojca — męża nieposledniéj nauki, skończyła następnie zakład wychowawczy z numerem pierwszym. Po śmierci profesora, przy szupłym funduszu, jaki przypadał wdowie, zawód nauczycielki stał się zatém przeznaczeniem sieroty; zbyt bolesném wszelako byłoby dla niéj, podjąć się w obcym domu tego obowiązku trudnego, ile, że i silnego nie miała zdrowia, a była usposobienia tęschnego i zbyt tkliwego. Stanęło więc na tém, że pozostanie się przy matce, przynajmniéj na teraz jeszcze, a cztery panienki z miasta uczęszczały do niéj na naukę, nawet i muzyki. Miała więc siedem godzin zajętych codziennie. Była to praca, praca męcząca niekiedy, ależ w domu, przy matce i bracie.

Antoni dawał korepetycye — i oszczędne wiedli życie obliczone na grosz każdy, zachowując przytem dawniéjszego bytu pozory. Nieraz odmówili sobie wszystkiego, ale i najbliżsi o tém nie wiedzieli znajomi. Bo mieszkanie ładne zawsze było, matka i córka ubierały się dobrze i porządną miały służącą.

Pani Żeglińska piękność przeceniając córki, ciągle tylko o tém marzyła, że jéj urocza Walentyna jaką świetną zrobi partyą i tém więcéj przestrzegała zewnętrznego okazu, kryjąc niedostatek starannie poza kulisami domowego ogniska.

Parę karet właśnie zatrzymało się w rynku. Młodzi panowie na wszystkie biegali strony. Z okien karet niewieście wychylały się twarze.

— Brak stancyi zapewne — wymówiła pani Żeglińska, stawając przy córce i wpatrzyła się w okno — hotele zajęte. Zjazd wielki.

— Zapewne, że ci panowie za mieszkaniami biegają. Tamten przystąpił do karety. Pani się zżyma... Wielka to zaprawdę nieprzyjemność, nie mieć gdzie wysiąść.

— Szkoda, Tyniu, wielka szkoda, że na balu nie będziesz — wyrzekła matka, spoglądając z zadowoleniem na ładną córkę — taki będzie liczny.

— Nic sobie z tego nie robię — odrzekła Walentyna z szczerym wyrazem.

— Jednakże... Bardzo żałuję! — matka ciągle patrzyła się na nią, a pomyślała przytém: Taka śliczna! Podobałaby się zapewne. I kto wie, czyliby się jaka świetna nie znalazła partya! Młodzieży obywatelskiéj będzie dużo... Cudo urody! A taka wykształcona, utalentowana. Nie mogę odżałować znowu — głośno wymówiła.

— Tynia powinna była być na balu! zawołał Antoni z pokoiku swojego.

— Mamo! Antosiu! Pocóżby ten koszt nie potrzebny.

— Sukienka tarlatanowa, kwiatek, to i nie tak kosztowne. Oszczędziłybyśmy na czém inném.

— Przybranie sukienki, szarfy, rękawiczki, bóciki... wyliczyła młoda dziewczyna z uśmiechem, a przytém jeszcze i inne nieprzewidziane wydatki.

— Byłabyś przecie z dyrektorową.

— Tak, tak — ozwał się znowu Antoni — pani dyrektorowa wczoraj jeszcze żałowała, że z nią nie będziesz. Spotkałem ją na ulicy i zaczepiła mnie sama. Pan Węgrocki już ciebie do kontredansa zamówił, — uśmiechnął się chłopiec.

— Och mój Boże! Poczciwy! — wymówiła panna.

— I bardzo poczciwy. Teraz nawet i dobra partya. Ale moja Tynia lepszą zrobi jeszcze.

W téj chwili zlekka zastukano.

— Kto tam? Proszę! — zawołała pani Żeglińska.

Drzwi zwolna otworzono i weszła kobieta niemłoda, w chustce derowéj i czarnym kapeluszu.

— Upadam do nóg wielmożnéj pani profesorowéj — wymówiła, kłaniając się nisko.

— Witam panią Bernsteinową.

— Jak się miewa wielmożna panna? pokłoniła się znowu.

— Zdrowa jestem. Dziękuję! — wdzięcznie odrzekła panienka.

— Chwała Bogu! Bo też panna wygląda, gdyby róża. Sehr schön! Ganz reizend! Drugiéj takiéj w całém nie ma mieście, jak Boga kocham! uderzyła się w piersi.

Po licu matki radosny a przytakujący przemknął wyraz.

— Przybiegłam ja tu do wielmożnéj pani profesorowéj z jedną propozycyą — zaczęła faktorka i jednem mrugnęła okiem.

— Cóż takiego?

— Wielmożna pani Wiesławska z Kozielska przyjechała z córką na bal, i stancyi nie ma nigdzie. A przecie nie może jaką tam wziąść izbę u szewca, albo u żyda? Chce zapłacić dukata na dobę, gdyby jaki ładny dostała pokój. A jeszcze i za kuchnią osobno talara, aby coś ugotować i samowar nastawić. Zabawi do wtorku, bo jutro święto i znowu bal. A więc potrzebuje na dwie doby, co netto dwa dukaty uczyni, a od kuchni talara, albo dwa. To ja sobie w głowie ułożyłam: wielmożna profesorowa ma salon piękny, co go może na dwa dni ustąpić.

— Jakżeżby to?! zastanowiła się niby pani Żeglińska.

— Będzie jak najlepiéj. Pani Wiesławska, bardzo jest dobra i uczciwa pani, a panienka gdyby anioł. I bogata pani, to i warto z nią zrobić przyjaźń.

— Tyniu, cóż ty na to?

— Jak mama zechce. Ale możnaby tym paniom

zrobić dogodność, bo muszę we wielkim być ambarasie.

— I w jakim!... A przytém będzie wszelako i trochę zysku — wtrąciła faktorka znowu.

— Niech mama przystanie! zawołał Antoś z drugiego pokoju.

— A jakżeż z tobą będzie?

— Otwórzę sobie drzwi do sieni, a te do salonu zamkniemy szczelnie. Bierz mama parę dukatów.

— Młody panicz ma ganz Recht! To będzie mądry kawaler.

— No... to... Tyniu, czy zgadzasz się na to?

— Owszem mamo, chętnie zupełnie. Jutro dla święta i tak lekcyi nie będzie.

— To prawda. No dobrze, pani Bernsteinowa. Ale to zacne są panie?

— Pani Wiesławska z Kozielska?! Aj, to jest wielka dama! Matka i córka to brylanty! Poskoczę i powiem. Bo tam oj w karecie czekają. W ten moment powrócę! — i wybiegła.

— Nie źle zrobiło się wcale, wymówiła po jéj wyjściu pani Żeglińska, zacierając ręce. Weźmie się z jakie ośm talarków, to i będziesz miała na bal przyszły ubranie za to.

— O tém nie pomyślałem, mateczko.

— Ale ja zaraz. I widzisz...

Zastukano znowu i wszedł młody, nader ładny mężczyzna, a za nim uśmiechnięta faktorka.

— To właśnie jest wielmożny pan Leon Wiesławski, dziedzic Karezewa, zagadała.

— Młody pokłonił się paniom z uszanowaniem. Był wysoki, kształtny, czarny wąsik i bródka znaczyły twarz łądnych rysów i cery świeżéj. Oczy miał niemal czarne i uśmiechnięte niby.

— Pani dobrodziejka raczyłaś matce mojéj pokoju ustąpić — przemówił z lekką krasą na licu — przychodzę wdzięczność naszą oświadczyć.

— Bardzo mi miło wygodzić... — odrzekła pani Żeglińska pomięszana nieco.

— Pani dobrodziejka pozwoli, to matka moja zaraz przyjdzie z siostrą, bo dotąd siedzą w powozie.

— Owszém, proszę bardzo.

Pan Leon się pokłonił i wyszedł, a za nim faktorka. W téjże chwili wszelako nawróciła zaraz.

— Wielmozna pani profesorowa! panie Antoni, zagadała wpółcicho, przysuwając się na palcach. — Wielmożny pan Leon Wiesławski także da dukata za dobę, gdyby mu pan Antoni swojego oddał pokoju. Żeby mógł być z panią mamą.

— A gdzieżby się sam Antoni podział? zawołała matka.

— Dobrze! dobrze, oddaję! wołał jednocześnie Antoni, przyskakując — mamo, byłoby dziecińswem odmówić! Na te dwa dni przeniosę się do kolegów Żernickich.

— Chłopcze!

— Jak mamę kocham! Idź pani Bernsteinowa i powiedz, że ja wyniosę się zaraz.

— Antosiu!

— Idź pani, idź!

Faktorka wybiegła.

— Moja mamo, to przecież jest gratka nielada!

— To prawda. Sześć talarów za dobę, dwanaście; za kuchnią dwa, to czternaście...

Walentyna w tym czasie ułożyła nuty na fortepianie i wyniosła koszyczek podręczny i książkę do drugiego pokoju. Antoś szybko swoje pozbierał manatki.

Właśnie też drzwi otworzono i weszła pani Wiesławska, miłego, uprzejmego wyrazu, i śliczna blondyneczka, jéj córka: istny aniołek. Panie przywitały się nawzajem. Przybyła uścisnęła z wdzięcznością gospodynię domu. I panny zbliżyły się do siebie od razu.

Nadeszła panna służąca i wniesiono za nią walizę, tłomak, kufer i pudełka. Pani Wiesławska kazała to wszystko w pokoju syna umieścić. Łóżka miały być na noc tylko wnoszone.

— Będę miała wizyty, to i niekształtnieby było — dodała.

Panna Jagulka, lokaj i Kasia pani profesorowéj, w jednéj chwili przynależny zrobili porządek.

Pani Żeglińska ofiarowała kawę gorącą, która z wdzięcznością przyjętą została, bo podróżne panie były głodne. Pan Leon nadszedł z ciastkami i przysmaczkami różnemi Walentyna nalewała kawę, a z dziwnym czyniła to wdziękiem. Matka jéj przy pani Wiesławskiéj na kanapie usiadła i niebawem w całém tém gronku miła harmonia zawiała.

Antoś po kawie zabrał co potrzebował, i do kolegów się wyniósł. Chciały także pani Żeglińska z córką ustąpić, i drzwi do swojego pokoju zamknąć, by nie przeszkadzać. Ale pani Wiesławska, a mniéj jeszcze milutka Ida, i słuchać o tém nie chciały.

— Zabawimy się razem — zagadała ta ostatnia — dopóki nie zaczniemy się ubierać. To jest szczęście dla nas takie towarzystwo. Inaczéj cóżbyśmy poczęły?

— Rzeczywiście, że mama i Ida opatrzności za to podziękować mogą, ozwał się Leon — i skrzętnéj pani Bernsteinowéj — dodał z uśmiechem.

— To też odemnie indyka i dwie gęsi dostanie.

Panie pozostały na kanapie. Panny usiadły przy oknie, a z niemi oczywiście i Leon. Ida niezmiernie żałowała, że jéj nowa przyjaciółka na balu nie będzie. A pan Leon dodał, że zarazby do pierwszego poprosił mazura.

Pani Żeglińska dosłyszała to na kanapie i z radości we wnętrzu zadrgnęło swojém: „Tynia taka śliczna, a pan Leon Wiesławski dobrą jest partyą. On winien zakochać się od razu!"

Mamy opowiadały sobie, jedna o swojéj okolicy wiejskiéj, druga o mieście. A młodzi wesoło gwarzyli.

Pani Wiesławska miała z sobą samowar, i zaprosiła szanowne gospodynie domu na herbatę. A przy téj była i obfitość wiejska, którą z sobą przywiozła: sarnina, kapłon, konserwy wyborne i t. d.

Po herbacie dopiero, zaczęła się Ida ubierać, w czém jéj nader zręcznie i z gustem Walentyna dopomagała.

O godzinie dziewiątéj ukazał się pan Leon we fraku, przy białéj kamizelce i białém na szyi wiązaniu, pełen elegancyi, i oznajmił, że kareta zaszła. Podano futra Leon raz jeszcze żal swój wynurzył, że panny Walen-

tyny na balu nie będzie. A Ida niemal siostrzanym pożegnała ją pocałunkiem. Kareta potoczyła się ku jasno oświetlonéj kamienicy, z któréj już taneczne odzywały ją tony.

— Miłe to bardzo osoby, wymówiła z zadowoleniem pani Żeglińska, gdy do swojéj weszły sypialni.

— Ida śliczna jest panienka.

— I pan Leon ładny, przystojny. A jaki grzeczny, uprzejmy! Szkoda, że nie jesteś na balu. Byłabyś miała tancerza.

Walentyna nic nie odrzekła.

— Bardzo uprzejmy i grzeczny. Podobałaś się...— poszepnęła córce na ucho, nie mogąc się od tego powstrzymać.

Walentyna zapłonęła.

— Och moja mamo, to taka grzeczność zwyczajna!

Matka pocałowała ją w czoło, snując daléj, w cichości myśli, słodkie marzenia o przyszłém szczęściu ukochanéj, a ślicznéj Tyni.

Walentyna o czémś inném zagadła. (D. c. n.)

Barbara Radziwiłłówna.

(Z ryciną.)

Po Wandzie i Jadwidze nie ma w dziejach naszych popularniejszéj niewieściéj postaci, jak żona Zygmunta Augusta. Jéj wdzięki, dobroć, miłość, a wreszcie śmierć zbyt wczesna i tajemnicza, wszystko to złożyło się na aureolę, która jéj pamięć otacza. Powszechnie przypisują zgon jéj otruciu Bony, — matki królewskiéj, kobiety chciwéj rządów i nie przebierającéj w środkach, gdy szło o dopięcie jéj zamiarów. Bona widząc przeważny wpływ pięknéj synowéj na Zygmunta, a miarkując, że przez nią własne wpływy utraci — postanowiła w sposób prawdziwie włoski pozbyć się niebezpiecznéj współzawodniczki. Miała jéj tedy podać w czasie lekkiéj słabości zamiast lekarstwa truciznę, która dobiła nieszczęśliwą królowę. Jestto fakt zwykle podawany za przyczynę zgonu Barbary przez historyków, chociaż nieudowodniony niczém. Postać téj pięknéj królowéj niejednokrotnie służyła za temat do powieści, dramatów i obrazów. I tak w dramacie przedstawili ją: Aloizy Feliński, Franciszek Wężyk i Antoni Edward Odyniec. Na płótnie unieśmiertelnił ją zasłużony artysta-malarz, Józef Simmler, Warszawianin, którego obraz „Zgon Barbary Radziwiłłównéj“ przez długi czas mistrzowskiém swojém wykończeniem zachwycał mieszkańców wszystkich prawie dzielnic Polski Nie podajemy tu obszerniejszego życiorysu téj królowéj z powodu, że postać ta znana jest powszechnie tym nawet, którzy tylko pobieżnie poznajomieni są z historyą Polską.

b.

Pomnik Kolumba w Genui.

(Z ryciną.)

Jestto dowiedzioną rzeczą, że ludzie rzadko kiedy umieją ocenić zasługi swoich współbraci za życia, i dopiero ze zgonem ich przekonywują się o stracie, jaką ponieśli. Zazdrość, zła wola, często względy osobiste bywają tego powodem, a wypadki takie powtarzają się w każdym narodzie, w każdéj historyi. Komuż nieznane są dzieje jednego z najgenialniejszych ludzi, od którego ludzkość nową epokę swojego pochodu cywilizacyjnego poczyna? Komuż, powtarzam, nieznana jest postać Krzysztofa Kolumba? Nieśmiertelny odkrywca nowego świata tém nawet nie był wynagrodzony, aby jego imię zdobiło ziemię, którą odkrył. Dopiero jeden z tych, co poszli już jego śladami, Amerigo Vespucci, nadał jéj własne swe imię i tém się unieśmiertelnił. A Kolumb? Zdradzony przez własnych współtowarzyszy, oczerniony przed monarchinią, któréj pod stopy nową ziemię rzucił, w kajdanach wieziony do ojczyzny, w goryczy i zapomnieniu dokonał resztek żywota. W czterysta dopiero lat po jego zgonie przypomniało sobie miasto rodzinne zasługi i sławę jego, i w pysznym pomniku uczciło pamięć jednego z najznakomitszych mężów, jakiego ludzkość wydała. Wyobrażenie tego pomnika podajemy czytelnikom w dzisiejszym numerze. Przed Kolumbem kilku mężów, a między innymi Polak, pewien Jan z Kolna, domyślali się istnienia i odkrywali niektóre części brzegów północnéj Ameryki. Odkrycia ich niepewne, nie wiele przyniosły światu korzyści, przeto sława odnalezienia nowego świata słusznie przynależy się Kolumbowi.

b.

O Teatrze narodowym.

(Dokończenie art. IV.)

Jakoż przez długie lata przedsiębiorstwa Kamińskiego (1809—1841) widzimy te same prawie nazwiska na afiszach, a chyba starość zmuszała do ustąpienia, lub od czasu do czasu przybywał nowy talent. Tak znakomity tragik Bensa, z bardzo małemi przerwami grywał ciągle przez te lat 32, tak Nowakowski i Smochowski, obaj pierwszorzędni artyści pod opieką Kamińskiego po raz pierwszy wystąpili, wykształcili się i zostawali na scenie lwowskiéj. Z artystek widzimy również ciągle Bensową, Kamińską, Stanowską, potem siostry Ceneckie i Sturmową, nareszcie pannę Targowską i dzisiejszą panią Aszpergerową. Do tego dodać należy gościnne występy rozmaitych artystów.

Idąc za ogólnym prądem, grywano wtedy przedewszystkiem tragedye, melodramy, komedye płaskie, zwane krotochwilami, czasem porywano się na opery. Oryginalnych sztuk dawano nie wiele, ale zawsze więcéj daleko jak w Krakowie, i Lwów poszczycić się może, że na jego scenie debiutował Fredro, Korzeniowski, i wielu innych, drugorzędnych dramaturgów naszych.

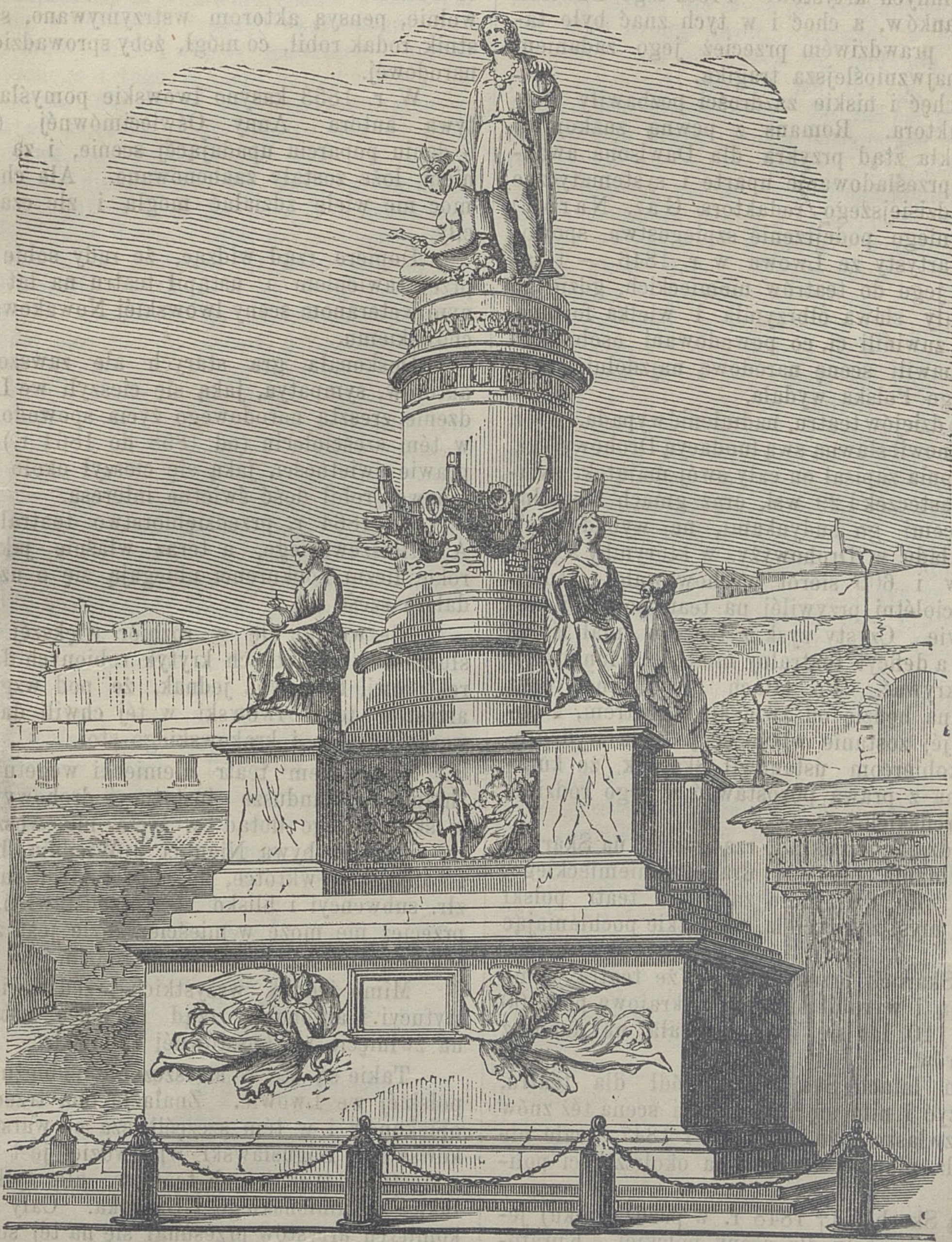
Powodzenie jednak teatru było bardzo rozmaite. Musiał on walczyć najprzód z obojętnością publiczności nawykłéj do niemieckich przedstawień i dość wtedy obojętnéj na tony ojczyste.

Zacność jednak charakteru Kamińskiego i wyborna gra artystów rozgrzewały powoli ogół dla teatru narodowego, ale na drodze stawała inna, trudniejsza do zwalczenia przeszkoda: niechęć władz i przywiléj niemieckiego teatru. Dyrektorowi tego ostatniego musiał Kamiński dawać $1/3$ dochodów, a i tak miał prawo tylko 120 przedstawień rocznie dawać; władze zaś prześladowały go ciągle, to obcinając sztuki, to ich zakazując, to więżąc i karząc klaskających, to zapełniając teatr przebra-

ną policyą, żeby klaskała w pewnych miejscach, a sykała tam, gdzie widzowie klaskać będą.

Teatr téż zależał od kaprysu władz naczelnych i łaski policyi. Lata 1817, 18, 19 i 20 były najlepsze, ale za to w 1822 doszło do tego, że tylko niezmierna energia Kamińskiego i pomoc kilku zamożnych ludzi uratowały teatr od zupełnego rozbicia i dogorywał téż powoli, aż nareszcie w r. 1825 stanowczo stany galicyjskie przypomniały sobie o nim i zapewniły mu 2000 złr. rocznéj subwencyi. Drobna ta pomoc wlała weń nowe siły, ale wkrótce tak się chylić znów do upadku zaczął, że Kamiński nie mogąc już w r. 1833 r. płacić stałéj pensyi artystom, oddał im teatr na ich ryzyko. Takie jednak było przywiązanie i szacunek dla tego człowieka, że pozostawieni swoim siłom aktorzy, z własnéj woli pod jego się oddali kierunek. Stan ten nowy trwał aż do r. 1841, który stanowi epokę w dziejach sceny lwowskiéj. W tym to bowiem roku hr. Skarbek rozpoczął budowę gmachu teatralnego, i z rąk Kamińskiego otrzymał kierunek sceny polskiéj, pozostawiając jednak reżyserstwo w rękach zasłużonego weterana.

Gmach przez Skarbka wystawiony, jest jednym



Pomnik Kolumba w Genui.

z najpiękniejszych we Lwowie, a żadna stolica nie miałaby powodu wstydzić się za budynek taki. Jedynym jego błędem są przeciągi i niedostateczna ilość drzwi wchodowych.

Wzięcie przedsiębiorstwa przez bogatego i zamiłowanego w teatrze magnata, zdawało się jak najlepsze rokować nadzieje. Nie spełniły się one wszakże w zupełności, bo Skarbek trochę za szorstko obchodził się z artystami, usuwał ich lub przyjmował wedle fantazyi i pozbywał się tym sposobem często najzdolniejszych. Tak oddalił wkrótce Bensę, potem Nowakowskich, a tylko powtarzane wciąż manifestacye publiczności przymuszały go do przyzywania napowrót oddalonych. Te wszakże spory między publicznością a dyrekcyą nie wyszły naturalnie scenie na dobro. Jednakże pierwsze lata dyrekcyi Skarbkowéj były bardzo świetne. Lwów niewidział jeszcze ani dekoracyi ani ubiorów takich, dawano więcéj sztuk polskich, a mianowicie Fredry i Korzeniowskiego, zwiększono trupę nowemi siłami, między któremi pierwsze zajęli miejsce Dawison i Aszpergerowa. Gra téj ostatniéj taki wzbudziła entuzyazm, że Skarbek zrobił z nią kontrakt na całe życie, który jednak późniéj

zerwany został. Dawison mniej przychylnie był sądzony.

Wielki ten artysta, Izraelita, urodzony w Warszawie w r 1813, z ubogich rodziców, skończywszy szkoły, zarabiał na życie, przepisując u notaryusza. Wkrótce jednak wrodzony pociąg ku scenie kazał mu wstąpić do szkoły dramatycznéj, z któréj po krótkim pobycie wystąpiwszy, wyjechał do Wilna, gdzie wystąpił razy parę z wielkiém powodzeniem, a z tamtąd przybył do Lwowa. Skarbek lubił go bardzo, i nawet dodał go Kamińskiemu, jako pomocnika w reżyserstwie, co stało się powodem zazdrości innych artystów. Prócz tego Dawison grywał role kochanków, a choć i w tych znać było talent niepospolity, prawdziwém przecież jego zadaniem była najwyższa, najwznioślejsza tragika.

Osobista niechęć i niskie zazdrości pozbawiły Polskę genialnego aktora. Romans z pewną znakomitą artystką, i wynikła ztąd przykra dla Dawisona awantura, a głównie prześladowanie uparte i systematyczne Dobrzańskiego, (dzisiejszego redaktora Gaz. Narod.) który rzucił na niego podejrzenie szpiegostwa, spowodowały ucieczkę artysty ze Lwowa w r. 1846 — i zaangażowanie się jego do teatrów niemieckich, gdzie go w lat kilka czekały sława olbrzymia i wielka fortuna. Ciężko zaprawdę zawinili ci, co powodowani osobistemi niechęciami pozbawili scenę narodową najzdolniejszego z artystów, jakiego Polska wydała.

Wracając do dziejów teatru, nadmienić wypada, że w r. 1843 Skarbek ustanowił sławną swą fundacyą Drohowyżską. Aktem dnia 1 sierpnia zapisał on cały swój majątek, składający się z 3 miasteczek i 29 wsi, oraz gmach teatralny wraz z otaczającemi go budynkami, na wybudowanie i utrzymanie zakładu w Drohowyży. w którym by się żywiło 400 starców i 600 sierot wychowywało. Jednocześnie wziął 50cioletni przywiléj na teatr polski i niemiecki we Lwowie. Czysty zysk z teatrów miał iść na korzyść zakładu, a deficyt teatralny miał się z funduszów zakładowych pokrywać. Po latach 50ciu, instytucya drohowyżska wolna będzie od związku z teatrem, a budynek teatralny jéj zostanie własnością. Dla wynagrodzania coś spadkobiercom ustanowił Skarbek, że kuratorya fundacyi ma z prawa pozostawać w jego rodzinie z pensyą 8,000 reńskich.

Ale potwierdzając ten układ, rząd włożył na Skarbka obowiązek utrzymania opery i dramatu niemieckiego, a obowiązek ten do dziś dnia zabija i teatr polski i całą szlachetną myśl założyciela, wszystkie pochłaniając fundusze.

Jakoż już Skarbek przekonał się, że teatra same się nie utrzymają i wyrobił subwencyą krajową po 2400 złr., która przez 10 lat się kapitalizowała na fundusz emerytalny aktorów.

W ostatnich latach Skarbek ochłódł dla teatru, przestał nań łożyć i nim się zajmować i scena też znów upadać zaczęła, zwłaszcza że rok 1846 i 1847 wcale nie był pomyślny dla niéj ze względu na okoliczności polityczne.

Ze śmiercią Skarbka († 1848 r. w październiku) jeszcze gorsze czasy nastały dla sceny polskiéj. Kuratorya wedle prawa przeszła na ks. Jabłonowskiego, ale dochody z dóbr zmniejszyły się wskutek uwłaszczenia, a teatr niemiecki takie pożerał sumy, że roczny deficyt wynosił 30,000 złr. Kurator prosił o zwolnienie instytucyi choćby tylko z dramatu niemieckiego, ale naturalnie prośbę tę odrzucono z oburzeniem. Sprowadzono więc Pfeifra, który prowadził na własny rachunek teatr nie lepiéj, jak w Krakowie.

Nareszcie w 1850 r. kurator za wiedzą i pozwoleniem zwierzchności wyjechał do Wiednia, by tam się starać o zmianę warunków. Aliści w parę dni po tym wyjeździe, hr. Gołuchowski, dziwnie w tamtych czasach wrogi wszystkiemu, co narodowe, pod pozorem, że książę kurator chce zaciągnąć pożyczkę i że wyjechał z miejsca urzędowania, polecił zawiesić kuratora w urzędzie, teatra wraz z dochodem od zabudowań oddać pod zarząd starostwa, a zarząd majątków oddać władzom obwodowym.

Niesłychany ten gwałt spełniony na rodzinie i fundacyi, zaledwie w lat dwa po śmierci fundatora, uzyskał jednak sankcyą władz wyższych i zaledwie przed kilku laty książę kurator do praw swoich wrócił. Tymczasem zaczęło się w teatrze gospodarstwo policyi. Wszystkie dochody ze sklepów w gmachu istniejących (20,000 złr. rocznie) pakowano w teatr niemiecki, a polski oddawano to Pfeiferowi to Chełchowskiemu, arbitralnie i własnowolnie, pensyą aktorom wstrzymywano, słowem namiestnik rodak robił, co mógł, żeby sprowadzić upadek sceny narodowéj.

W r. 1853 kasyno lwowskie pomyślało za inicyatywą autora Anny Oświecimównéj (Antoniewicza) o daniu poparcia upadającéj scenie, i za jego to staraniem loże zostały zaabonowane. Ale chwilowa ta pomoc nie wiele zdziałać mogła i złe czasy znów wróciły.

Dopiero rząd widząc, że rady sobie nie da, uległ przedstawieniom i ustąpił teatru na lat sześć zasłużonym weteranom sceny lwowskiéj Nowakowskiemu i Smochowskiemu.

Doskonała gra starych ale zawsze znakomitych aktorów, sympatya, jaką się cieszyli we Lwowie, rozbudzenie zresztą narodowego życia spowodowały, że teatr w tém sześcioleciu (od 1858 do 1864 r.) wrócił do téj prawie świetności, jaką się cieszył około r. 1820 i 1843 i nawet robił dość świetne interesa.

Od 1864 r. przedsiębiorstwo teatralne należy do A. Miłaszewskiego, a teraz właśnie jako w ostatnim roku, liczni konkurenci ubiegają się o uzyskanie go na dalsze sześć lat.

Nie wdając się w rozbiór większéj lub mniejszéj słuszności namiętnych krytyk robionych dzisiejszemu dyrektorowi, to pewna jednak, że pod względem dobroci artystów teatr lwowski w téj chwili daleko niżéj od warszawskiego i krakowskiego stoi.

Tymczasem teatr niemiecki wegetuje ciągle, pochłaniając fundusze instytucyi drohowyjżskiéj, która w skutek tego dotąd w życie nie weszła. Co kilka miesięcy przybywa Niemiec z Wiednia, bierze koncesyą i bankrutuje wkrótce, bo choć teatr niemiecki ma 6000 złr. subwencyi i blisko 200 przedstawień, utrzymać się przecież nie może w mieście, gdzie jest zaledwie kilkaset urzędniczych niemieckich rodzin.

Mimo jednak wszystkich przedstawień, mimo konstytucyi i autonomii rząd nie chce ustąpić i pozwolić na zwinięcie téj kosztownéj zabawki.

Takie są oto w streszczeniu pobieżném dzieje sceny polskiéj we Lwowie. Znalazła ona trzech znakomitych opiekunów i w tém szczęśliwsza od warszawskiéj i krakowskiéj. Bogusławski wprawdzie jest niejako twórcą wszystkich tych trzech teatrow, ale tylko Lwów miał takiego Kamieńskiego i Skarbka. Cały też szereg znakomitych artystów przesunął się na téj scenie, ale wielkość miasta, stawiając ją w lepszych jak krakowską warunkach. większa swoboda słowa, dając jéj wyższość nad Warszawą, powinny były z niéj zrobić nalepszy teatr polski.

Ciążyła jednak nad nią ciągła niechęć władzy, któréj skutkiem jest ów nieszczęsny teatr niemiecki, który sam jeden potrafił zrównoważyć wszystkie wyżéj wyszczególnione warunki szczęśliwe i nie pozwolił jéj rozwinąć się, jak należy. Niezawodną jest przecież rzeczą, że w obec tego nawet pasożyta, teatr lwowski pod dobrym kierunkiem stanąć może wkrótce na czele scen polskich, jeżeli tylko potrafi w publiczności rozbudzić prawdziwe dla sceny zamiłowanie.

Wycieczki po niebie

przez

Dr. Daniela Wierzbickiego.

II. O gwiazdach spadających.

(Dokończenie.)

W r. 1834 wystąpił Benzenberg z dziełem swojém o gwiazdach spadających, w którém starał się dowieść, że gwiazdy spadające są to kamienie spadłe z księżyca, a poruszające się w kolistych drogach około ziemi. Podług jego więc mniemania, gwiazdy spadające i meteoryty były to jednego i tego samego gatunku ciała, bo jednego pochodzenia, ale za to przypuszczone przezeń pochodzenie ich od księżyca, mało bardzo ma za sobą prawdopodobieństwa, przypomniawszy sobie to, cośmy przeciw pochodzeniu meteorytów od księżyca dawniéj powiedzieli. To téż już w parę lat późniéj wspomniany przez nas wyżéj Olbers, dowiódł całéj bezzasadności tego twierdzenia, a natomiast znajoma już podówczas okoliczność, że w listopadzie każdego roku lecą całe roje gwiazd spadających, posłużyła do postawienia nowego mniemania, więcéj pozornie do prawdy podobnego. Zdawało się bowiem, jakoby ziemia pod te czasy, t. j. w listopadzie, idąc drogą swoją około słońca, przychodziła w takie okolice swéj drogi, gdzie jest obfita ilość owych gwiazd spadających. Na tém wsparty sławny naturalista Arago wystąpił w r. 1835 z swojém cokolwiek wprawdzie odegrzaném, bo już w początkach zeszłego stulecia przez Halleya postawioném, ale porzuconém mniemaniem, podług którego gwiazdy spadające pochodzą z niezliczonéj gromady bardzo małych ciał planetarnych, które się po elliptycznéj drodze podług praw ciężkości około słońca poruszają, tworząc pierścień około niego. Pierścień ten, w którym atoli gwiazdy spadające, czyli te małe ciała nie jednostajnie, ale tu mniej, tu więcéj są nagromadzone, przecina drogę ziemi w tém miejscu, gdzie właśnie ziemia corocznie skutkiem obrotu swego około słońca, w dniach 11 do 14 listopada się znajduje tak, że ziemia w tym czasie przez część owego poruszającego się pierścienia przechodzi. Podówczas ciała te małe w skład pierścienia wchodzące, poruszają się wraz z pierścieniem około słońca, przerzynają niejako podczas swego obrotu naszą atmosferę, a z powodu wielkiéj swéj chyżości zgęszczając przed sobą powietrze, rozżarzają jego cząstki a nawet zapalają. Światło ztąd powstałe jest dla nas widoczném dotąd, dopóki ciało to atmosfery naszéj nie przebieży, albo litéż dopóki samo przez płomień ruchem swoim wywołany, nie zostanie spaloném.

Mniemanie to o istocie gwiazd spadających, acz nie tak świeżo, jak się zrazu zdawało, znalazło jednak nawet między znakomitymi podówczas astronomami ogólne uznanie. Nie starając się go sprawdzić licznemi spostrzeżeniami, kometami, wyszukano takie, które się najwięcéj do drogi ziemskiéj zbliżają, a porównanie dni, w których komety te są najbliżéj ziemi, z peryodycznemi rojami, wykazało, że prócz roju sierpniowego i listopadowego jeszcze ośmiu innym pomniejszym rojom odpowiadają dokładnie drogi pewnych znajomych nam dotąd komet.

Podług dzisiejszego stanu umiejętności, komety są to ciała niebieskie z tych samych pierwiastków co i ziemia złożone, ale których cząstki częścią stałe, częścią gazowe, nie są ściśle z sobą spojone i przy wielkiéj objętości małą posiadają masę. Ciała te poruszając się w przestrzeni świata jak i słońce z całym orszakiem planet i ich księżyców, skoro dostaną się w sferę przyciągania słońca, zmuszone zostają do ruchu około niego, a biegnąc z chyżością bardzo wielką, nie mogą być w chwili zbliżenia się do słońca przez bliższe słońcu planety jak Merkury, Wenus, ziemia i Mars wyparte ze swéj drogi, ale mocą przemagającego działania słońca idą daléj drogą swoją napowrót w przestrzeń świata. Im daléj atoli od słońca się oddalają, tém téż wedle praw mechaniki chyżość ich maleje, a ztąd i wyparcie z kolei jest łatwiejszém. Że zaś na granicach państwa słonecznego krążą planety posiadające wielką masę, a zatém działające bardzo silnie, jak Jowisz, Saturn, Uranus i Neptun, zatém jeżeli droga komety prowadzi przez zakres działania jednéj z tych planet, natenczas kometa zostaje z drogi swéj wypartą i zmuszoną do powtórnego obiegu około słońca. Takie jednak wyparcie z pierwotnéj drogi i peryodyczny obieg komety około słońca musi koniecznie prowadzić do jéj ruiny i do rozproszenia jéj części i dzisiaj jest to już rzecz obserwacyami stwierdzona, że za zbliżeniem się komety ku słońcu następują w niéj fizyczne zmiany. Z powodu bliskości słońca następuje zmiana trwałości komety, tak iż ona nie może się już utrzymać w całości, lecz odrywające się od niéj części w mniejszéj lub większéj ilości muszą się gromadzić koło nowych środków ciężkości, które pójdą koło słońca tą samą drogą, co pierwotna kometa. Widać więc będzie tą samą drogą około słońca dążące i kometę coraz to słabszą i pojedyńcze jéj odłamki jako gwiazdy spadające i wreszcie całe grupy takich odłamków, jako rój gwiazd spadających. Cząstki te rozsypawszy się po całéj drodze utworzą jednostajny łańcuch, który ziemia corocznie w biegu swym około słońca napotykać będzie tak, jak się to dzieje np. z rojem sierpniowym.

Tak więc widzimy, że tajemnicze te ciała, tj. komety, gwiazdy spadające i całe ich roje przestały dziś być zagadką, lubo uważało je wielu za niepodpadające żadnéj wątpliwości. Obserwowano wprawdzie i daléj gorliwie gwiazdy spadające, ale postawiwszy mniemanie powyższe jako niezbitą prawdę, robiono to tylko w tym celu, aby mniemanie to stwierdzić, co niezbyt trudném było, naciągając doń wszystkie do tego czasu znajome okoliczności tego zjawiska i obciążając je jeszcze nowemi przypuszczeniami. Był to błąd naukowy, bo właśnie wprost przeciwną obrać trzeba było drogę, tj. nie stawiać żadnych mniemań, póki się nie ma na to dostatecznego a nawet wielkiego zapasu spostrzeżeń. Mniemanie wyżéj rzeczone, przez taką powagę w świecie uczonym, jaką był Arago, postawione, było pobudką, że wielu uczonych i nieuczonych wzięło się skrzętnie do obserwowania nieba w nocach listopadowych i widzieli oni rzeczywiście tylko w listopadzie gwiazdy spadające, ale bo ich téż tylko w listopadzie szukali. Wkrótce atoli spostrzeżono, że nietylko w listopadzie ale i w sierpniu lecą one w wielkiéj ilości, a nie chcąc porzucić powyższego mniemania, przyjęto na wytłómaczenie roju sierpniowego drugi pierścień poruszający się również około słońca, — a nareszcie, gdy poznano rój kwietniowy i lipcowy i inne, więcéj takich pierścieni przyjąć byli zmuszeni. Coby to atoli były za pierścienie, jakiego kształtu, wymiarów i początku, nikt powiedzieć nie umiał.

Ponieważ tłómaczenie zjawiska jakiegoś nie może uchodzić za prawdziwe, dopóki ze wszystkich, ze zjawiskiem połączonych, nawet drobnostkowych okoliczności rachunku zdać nie potrafi, a mniemanie powyższe, acz

późniéj bardzo skombinowane, bo jeszcze wieloma innemi przypuszczeniami podpierane, nie zdołało tłómaczyć dokładnie przebiegu całego zjawiska, mniemanie to ostatecznie upaść musiało. Bo i pomijając już tę okoliczność, że trudno przypuścić istnienie tylu pierścieni, wiadomo nam już, że mierzone dotąd odległości w jakich się niektóre gwiazdy spadające po nad ziemią pojawiają, są zbyt wielkie, bo nawet i do sta mil dochodzące, a ponieważ wysokość naszéj atmosfery ziemskiéj według najnowszych poszukiwań Gyldena niespełna 14 mil wynosi, zatém trudno przypuścić, iżby ciała te, do pierścienia należące, mogły rozpalać cząstki powietrza tam, gdzie go nie ma.

Zobaczmy teraz na jakim stopniu stoją dzisiaj nasze wiadomości o gwiazdach spadających. Niedawno, bo w naszych czasach żyjący sławny astronom medyolański, Schiaparelli, położył na tém polu ogromne zasługi, a badania i wnioski jego tworzą zwrot zupełny w téj części naszych wiadomości o wszechświecie.

Wiadomo nam już bowiem, że z rachunku wypadła chyżość dla gwiazd spadających 5 do 6 mil na sekundę. Chyżość ta o $^2/_{10}$ mniejsza od chyżości, z jaką wszystkie komety przechodzą przez drogę ziemi, naprowadziła Schiaparellego na domysł, że kształty dróg, jakie naokoło słońca opisują te ciała, muszą być takie same, jak dróg, jakie opisują komety. Że zaś drogi komet wszystkich dotychczas znanych, były jak najdokładniéj obliczone a więc i wiadome, chodziło więc teraz tylko o to, ażeby położenie i wymiary kolei, jakie gwiazdy spadające w przestrzeni opisują, dokładnie o ile można wyznaczyć. Naturalna, że dla każdéj gwiazdy spadającéj z osobna tego wykonać niepodobna, a nawet nie potrzeba, bo dość jest uskutecznić to tylko dla kilku należących do jednego i tego samego roju, a tém samém będziemy mogli w przybliżeniu przyjąć tak obliczoną koléj jako odpowiednią całemu rojowi, czyli wszystkim gwiazdom spadającym do niego należącym. Takie obliczenie wykonał Schiaparelli w r. 1866 dla dwóch rojów głównych tj. listopadowego i sierpniowego. Do dokładnego wyznaczenia atoli tych dróg przyczyniła się nader szczególna okoliczność, na którą dotąd nie zwracano uwagi. Zaledwie bowiem z grubsza takowe obliczono, spostrzeżono że droga roju sierpniowego jest taka sama, jak droga komety III z r. 1862, droga zaś roju listopadowego odpowiada zupełnie co do położenia i wymiarów swoich drodze komety I z r. 1866. Obliczenie dokładne tak radiantów jak i chwil, w których najwięcéj gwiazd w sierpniu i listopadzie spada, okazało, że tu nietylko podobieństwo, ale nawet zupełna panuje zgoda między drogami tych dwóch komet a drogami tych dwóch rojów, a zgoda ta zmusza nas do przyjęcia, że te dwie komety są to integralne części rojów spadających w sierpniu i listopadzie. Jeżeli zaś tak się rzecz ma w tych dwóch szczególnych przypadkach, więc tak samo musi się mieć i w innych. Jakoż poszukiwania w r. 1867 uskutecznione wykazały istotnie, że i innym dość dokładnie dotąd zbadanym rojom odpowiadają komety widziane w ciągu zeszłego i bieżącego stulecia. Tak np. rój spadający 20 kwietnia czyli kwietniowy odpowiada komecie I z roku 1861, zaś rój grudniowy odpowiada komecie peryodycznéj znanéj pod imieniem Biela, która powracając co lat $6^3/_4$ od r. 1772, w r. 1845 rozdzieliła się na dwie połowy i tak rozdarta pojawiła się jeszcze w r. 1852, a następnie znikła bez wieści, mimo starannych za nią poszukiwań.

To odkrycie wspólnego pokrewieństwa między gwiazdami spadającemi a kometami jest ważném odkryciem w astronomii. Podług niego bowiem w okolicach wszechświata, przez które ziemia podczas obficie spadających rojów przechodzi, spodziewać się nam komet należy i nawzajem w punktach drogi ziemskiéj, gdzie takowa przez drogę komety jakiéjś przechodzi, spodziewać się nam należy gwiazd spadających. To też między wszystkiemi dotąd obliczonemi wiele bardzo jest jeszcze punktów spornych i niewyjaśnionych, jednak przyznać należy, że ważne to odkrycie Schiaparellego jest chlubą naszego wieku w dziedzinie astronomii, a z drugiéj strony znów ufać należy, że Przedwieczny pobłogosławi dalszéj pracy ludzkiéj i pozwoli rozumowi ludzkiemu cuda swoje zbadać, boć nie zagadkowość, ale wielkość jest wielkością Jego.

ROZMAITOŚCI.

(Wzajemne zwierzenie się.) Alfred. Żenię się...

Gustaw. Ja podobnież — za parę miesięcy.

Alfred. Moja przyszła jest anielską.

Gustaw. A moja luba jest boska.

Alfred. Dwakroć za nią dostanę.... wyprawę hrabiowską.

Gustaw. Ja czterykroć i przepych w wyprawie książęcy.

Alfred. Koligacę się z jednym z najświetniejszych rodów! co liczył trzech biskupów, czterech wojewodów.

Gustaw. Ród świetny, do którego moja luba należy, wydał sześciu prymasów i ośmiu kanclerzy.

Alfred. Ojciec ma dwa klucze.

Gustaw. Cztery ma jéj matka.

Alfred. Miasteczko...

Gustaw. Aż dwa miasta.

Alfred. Pałac...

Gustaw. Dwa pałace!

Alfred. (do siebie) Już ja kłamię na urząd, lecz on łże, jak z płatka. Wszystko dwoi... Poczekaj! zaraz ci odpłacę. — (głośno) Moja przyszła każdemu bardzo się podoba

Gustaw. Za moją każdy chętnieby skoczył w płomienie.

Alfred. Co za wdzięk!

Gustaw. Urok!

Alfred. Dowcip!

Gustaw. Wiedza, wykształcen ie

Alfred. (prędko) Na jedno oko ślepa...

Gustaw. A moja na oba!

Szarada.

Drugie i trzecie strawa, ulubiona,
W przysłowie nawet weszła u ludu.
W pierwsze i trzecie dama ustrojona,
Lub w każdym kramie znajdziesz bez trudu.
Całość, — drapieżnych zwierząt gromady,
W Afryce, Azyi, czyniące napady.

(Rozwiązanie szarady w nr. 46: **Pierścień.**)

PUSZKA DO LISTOW.

Panu Drapikowi w Żerkowie. Wyborne, ale już zużyte. — Pann T. C. w Żabrzu Niektóre udatne. — Panu Skarbimirowi w Poznaniu: Przyjęcie proponowanego tematu zależy od jego rozprowadzenia. — Panom Tercyanerom H. Pt. — K. Sz. — F. Ł. w Śremie: Dziękujemy, doskonałe.

Panu Fr. R. w Toruniu. Oczekiwania Pańskie zostaną, jak się spodziewamy zaspokojone, autor bowiem artykułów „O Teatrze narodowym" przyrzekł nam po skreśleniu historyi rozwoju teatrów w Warszawie, Krakowie i Lwowie, poruszyć w osobnym artykule kwestyą teatru polskiego w Poznaniu. Cieszylibyśmy się bardzo, gdyby artykuły „O Teatrze narodowym, zapoznające publiczność naszą, z jakiemi to trudnościami walczyła i walczy dotąd u nas scena narodowa, mogły zachęcić obywateli Wielkopolski i Prus Zachodnich do podjęcia projektu już przez Dzien. Poznań. i Gaz. Tor. poruszonego. Podzielamy zdanie Pańskie, że chcąc założyć teatr polski w Poznaniu, należałoby „utworzyć komitet z 100 osób, a z tych dopiero wybrać wydział z 25 osób; że jedna osoba musi się myślą tą specyalnie zająć i jéj się poświęcić." Gdy się środki materyalne zgromadzą, o artystów rzecz łatwiejsza; prawdopodobnie jest dość wielu na obcych scenach polskich artystek i artystów, jak n. p. pan Barącz z Lwowa, którego Pan poznałeś w Toruniu w trupie p. Schwemera jako pana de Baronche.

Panu Ł. — M. D. Przykro nam, Bóg widzi, że nasza odpowiedź w ostatniéj „Puszce do listów" nie przyjemnie Go dotknęła. Nic nam tyle kłopotów nie sprawia, co redagowanie odpowiedzi na nadsyłane poezye, i ile razy się do téj pracy zabieramy, przypomina nam się zawsze mimo woli znana bajka: O ośle, i młynarzu i synie jego. Kto w Boga wierzy w szerokiéj ziemicy Wielkopolskiéj, wzdłuż i w poprzek, ten pisze poezye, a co najmniéj wiersze nadsyła je do Redakcyi „Sobótki." Nie odpowiedzieć na nadesłany wiersz w niesympatycznéj „Puszce" — źle, odpowiedzieć — także źle; nie wydrukować — źle, wydrukować — może być równie źle. Zresztą wybór nasz jest bardzo ograniczony; w tece naszéj przeznaczonéj do wierszy, wygląda jak w kwiaciarni, są tam same bławatki, róże, fiołki, narcyzy, myrty, stokrotki, jest także unikat: wiersz do rumianku; przytem jest sporo wierszy o gwiazdach i gwiazdeczkach, czasami zabłąkają się także — w sekrecie nadesłane — czułe wierszyki do ...asi, ...isi, ...lili, ...luli. W obecnéj porze nie każdy jednak kwiatek da się na świat wystawić, a z powodu drażliwości serc nie każda tajemnica, czułéj elegii powierzona, zdradzić. Zechciéj Pan tedy uwzględnić nasze trudne położenie. Zresztą zaręczamy Panu, że dla szczegółowych powodów, o których tu zamilczymy, nie zamieściliśmy wiersza Pańskiego; inne przyjmiemy chętnie.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Roman Szymański w Poznaniu, Lipowa ul. nr. 2. — Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu.
Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.